

---

■ JEAN WARD

## KILKA UWAG NA MARGINESIE DYSKUSJI O „DOTKLIWEJ NIEOBECNOŚCI” LUB: *WHEN I SEE A SPADE...*

---

Pewna moja znajoma przeprowadziła się z mężem i trojką małych dzieci z mieszkania w bloku do ładnego, dużego domu pod lasem. Podczas pierwszego spotkania u niej oznajmiła: „Na naszej ulicy jest burdel”. Biorąc jej słowa za metaforę, odparłam, że nie zauważyłam szczególnego nieporządku w sąsiedztwie. Okazało się, że znajoma wyraziła się dosłownie. Byłyśmy akurat na spacerze, a ponieważ nie widać było jaskrawych różnic między domami przy jej ulicy, zapytałam, po czym można poznać, w którym z tych mniej lub bardziej zadbanych budynków mieści się ów *burdel*. Koleżanka roześmiała się i powiedziała, że zaraz sama się zorientuję. I rzeczywiście: w oknie jednego z domów zobaczyłam tabliczkę z niezbyt eleganckim odręcznym napisem *LUST*.

Długo się zastanawiałam, i nadal się zastanawiam, jak ów napis zinterpretować. A niedawno, kiedy uczestniczyłam w dyskusji panelowej poetów i tłumaczy zorganizowanej przez Nadbałtyckie Centrum Kultury w Gdańsku (21–23 listopada 2007 roku), przyszło mi znowu o tym myśleć. Dyskusja miała dotyczyć obcej literatury „dotkliwie nieobecnej” w Polsce oraz polskiej literatury, której jeszcze nie przełożono, a którą koniecznie należałoby przełożyć, na inne języki. Panel jednak nieoczekiwanie przerozdził się w dyskusję o samym języku, przede wszystkim polskim. Mówiono, jak język polski jest „zabrudzony” obcymi słowami i kalkami językowymi, głównie z angielskiego (jako przykład podano wyrażenie *automatyczna sekretarka*, niesłusznie, ponieważ określenie to nie jest wzorowane na języku angielskim: w angielskiej nazwie *answering machine* lub *answerphone* nie ma odniesienia do osoby; nie można więc winić angielskiego za ewentualną niepoprawność polityczną polskiej nazwy). Mówiono, że należy

dbać o czystość języka, bronić go przed zagrożeniem wyparcia rdzennie polskich słów przez „dotkliwie **obecne**” synonimy obce (rozumie się: angielskie).

Można by ten „zarzut” pod adresem języka angielskiego traktować rozmaicie, np. przypomnieć (co zresztą uczynił jeden z uczestników panelu), że angielski nie jest rasowym monolitem, ale „kundlem”, który swoją żywotność i bogactwo zawdzięcza otwartości na przeróżne wpływy, i że podobna otwartość w przeszłości dobrze służyła polskiej mowie. Ja jednak jako rodzima użytkowniczka języka angielskiego zaczęłam ponownie myśleć o napisie *LUST* i zastanawiać się, czy przypadkiem procesy zachodzące w języku polskim nie są tak samo, jeśli nie bardziej, szkodliwe dla języka angielskiego. Czy nie wygląda to tak, że język polski, pożytkując angielskie słowa, znalazł świetny sposób radzenia sobie inaczej z problemem tak zwanej czystości? Może – jeśli obrona jest tu w ogóle możliwa – chodzi zarówno o to, by bronić języka polskiego przed obcymi wpływami, jaki i o to, by bronić języka angielskiego przed złym jego użyciem? Należy więc zadać **dwa** pytania: co się dzieje z językiem polskim w wyniku takich **wpływów**?, i zarazem: co się dzieje z językiem angielskim w wyniku **rozmąszonego wykorzystywania go** przez Polaków do pewnych, chyba niezbyt znacznych, celów?

Wróćę teraz do możliwych interpretacji napisu w oknie. Czy oznacza on, że stoimy przed burdelem dla lepszego rodzaju klientów, władających angielskim? Czy egzotyczne słowo ma przydawać blasku prowadzonej tam działalności? A może jest to objaw czystej hipokryzji – sugestia, że takie przedsięwzięcie jest obce polskiej kulturze? Byłaby to swoista kontynuacja komunistycznego mitu Zgniłego Zachodu, skąd rzekomo pochodzi wszystko, co złe... Wątpię, czy napis ma przypominać o ewidentnej prawdzie, że znajomość obcego języka nie chroni człowieka przed upadkiem moralnym: *lust* to angielska nazwa jednego z (ogólnoludzkich) siedmiu grzechów głównych. A może miał to być sygnał dla anglojęzycznego turysty? Ale przecież mimo coraz bardziej otwartej dyskusji na tematy seksualne prowadzonej w kulturze zachodniej, słowo *lust* wciąż nie wywołuje pozytywnych skojarzeń. Właściciel burdelu wybrał dla swojego przedsięwzięcia nazwę, która w ocenie osoby anglojęzycznej jest nadal odrażająca i raczej nie stanowi zachęty dla turystów, nie miał natomiast odwagi nazwać rzeczy po imieniu w języku polskim. Czyżby się obawiał, że odstraszy klientów, każąc im spojrzeć prawdzie w oczy? Aby zrozumieć perfidję tego posunięcia, wystarczy wyobrazić sobie, że w oknie domu przy

porządnie wyglądającej polskiej ulicy widnieje słowo *POŻĄDANIE* lub *NIECZYSTOŚĆ!*

Załóżmy jednak, że właściciel miał zacniejszy zamiar: chciał chronić dzieci, których na tej ulicy jest sporo, przed poznaniem brzydkiego świata seksualnych nadużyć i wyzysku drugiego człowieka. Ale dzieci, które nie rozumieją słowa *lust*, pewnie też nie rozumieją słowa *pożądanie* lub *nieczystość*. A zresztą w trakcie rozmowy w zupełnie innym towarzystwie dowiedziałam się, że tamtejsze dzieci nauczyły się wykorzystywać pobliski „Sex-shop” jako punkt orientacyjny w przestrzeni miejskiej. Być może nie wiedzą, z czym mają do czynienia, choć nie byłabym tego wcale pewna. Oczywiście byłoby dobrze, gdyby dzieci w ogóle nie poznawały sfery handlu seksualnego w żadnym języku. Wolałabym też jednak, żeby ten półświatek nie kojarzył im się od razu z językiem angielskim. Może to zabrzmiałoby patetycznie – trudno – ale nie chciałabym, żeby pierwszymi słowami z języka Szekspira poznanymi przez polskie dzieci były *lust* i *sex shop*.

Angielskie słowa odnoszące się do sfer wstydlivych, jak również tak zwane brzydkie słowa, są w Polsce wszechobecne. Odkąd pojawiły się tutaj flamastry, protestuję – oczywiście bezskutecznie – przeciw wulgarnym graffiti w języku angielskim. Uważam, że jeśli ktoś chce przeklinać, to powinien mieć tyle odwagi, by robić to we własnym języku. Coraz częściej słyszę teraz w gwarze młodzieży angielskie wulgaryzmy, które w moich – może trochę delikatnych – uszach brzmią dość drastycznie, w opinii młodych natomiast pewnie nadają mowie szyk i elegancję, chroniąc ich przed zarzutem prawdziwej wulgarności. Wiadomo, że wagi „brzydkich słów” (po angielsku nazywanych „brudnymi” – *dirty*) w języku obcym nie odczuwa się tak jak we własnym. W angielsko-francuskim słowniku wydawnictwa Collins z 1978 roku oznaczono gwiazdkami słowa z rejestru kolokwialnego, doradzając uczącym się języka szczególną ostrożność w stosowaniu tych wyrażen. Chciałabym, aby również w Polsce ta rada była brana pod uwagę. To, że anglojęzyczne wyrażenia wulgarne często pojawiają się w filmach (nie wiem, czy tak jest, ale takie usprawiedliwienie słyszałam), nie znaczy, że z tą samą częstotliwością pojawiają się w rozmowach osób anglojęzycznych ani, tym bardziej, że uczący się języka potrafi wyczuć, w jakich sytuacjach może ich używać, nie obrażając nikogo i nie wychodząc, mówiąc potocznie, na szczeniaka.

W tym kontekście możemy też zastanowić się nad karierą, jaką zrobiło angielskie słowo *sorry* we współczesnej polszczyźnie. W rodzimym użyciu jest to najprostsz, najbardziej bezpośredni wyraz skruchy (lub żalu).

W języku polskim natomiast *sorry* zupełnie traci swoją moc i prostotę. *Sorry, że tak wyszło* – mówi ktoś, kto wcale nie sądzi, że naprawdę jest za co przepraszać, albo (co gorsze) nie ma w sobie dość pokory i szacunku dla drugiego człowieka, żeby słowo *przepraszam* przeszło mu przez gardło. Zauważmy też, że w szyku polskiego zdania, w którym pojawia się słowo *sorry*, nie da się w żaden sposób wzmocnić tego wyrazu skruchy, tak jak można, korzystając z najprostszego wyrażenia polskiego, powiedzieć np. *najmocniej przepraszam* lub *przepraszam bardzo*.

Myszę, że obserwacja napisów i współczesnej potocznej mowy polskiej dostarczy wiele przykładów komentowanego przeze mnie zjawiska. Język angielski jako składnik obecny w języku polskim jest na mój gust rzeczywiście „dotkliwie obecny” – ze szkodą przede wszystkim dla siebie – jako eufemizm. Okazuje się bardzo przydatny do wypowiedzania tego, czego nie chcemy lub co wstydzimy się powiedzieć we własnym języku. Zresztą może taka postawa nie jest niczym nowym: słowo *burdel* też nie jest przecież rdzennie słowiańskie, choć prostytutka to podobno najstarszy zawód świata i należy przypuszczać niestety, że pojawiała się też wśród dawnych Słowian.

Na ostatnich stronach *Ziemi Ulro* Czesław Miłosz pisał, że ten, kto mówi w obcym języku, jeśli nawet zna go dobrze, zawsze mówi trochę jakby przez szybę, w pewnym oddaleniu od omawianych spraw. Idąc tym tokiem rozumowania, można by zapytać, czy Polak, wykorzystując język angielski do wspomnianych celów, nie zasłania siebie i rzeczywistości polskiej kultury przed samym sobą. Zakończmy jednak nasze rozważania w trochę weselszej tonacji. W komedii Oscara Wilde’a *The Importance of Being Earnest* jedna z bohaterek chlubi się tym, że zawsze nazywa rzeczy po imieniu: *When I see a spade, I call it a spade*. Jej rozmówczyni odpowiada z zadowoleniem, że nigdy wymienionego przedmiotu nie widziała. Ten dowcipny dialog obrazuje jeden z aspektów dzisiejszego funkcjonowania języka angielskiego w języku polskim. Otóż Polakowi nieraz udaje się nie widzieć łopaty, bo zasadę sformułowaną przez bohaterkę Oscara Wilde’a stosuje tak: kiedy widzę łopatę, nazywam ją *spade*!